

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

940811

OWY

Nr. 3.

POD OBCYM SZTANDAREM

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

Napisał

CZESŁAW ŁUKASZKIEWICZ

NOWY YORK 1915

NARŁAD I WŁASNOŚĆ KSIĘGARNI

POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

TEATR NARODOWY

Nakładem księgarni

POLISH BOOK IMPORTING CO., Inc.

ukazały się dotychczas:

- No. 1 **"Hej! strzelcy wraz!"** Obrazek sceniczny z wojny współczesnej w jednej odsłonie. Napisał Czesław Łukasziewicz.
- No. 2 **"Na pobojuwisku."** Obrazek sceniczny z wojny współczesnej w jednej odsłonie. Napisał Czesław Łukasziewicz.
- No. 3 **"Pod obcym sztandarem."** Obrazek sceniczny z wojny współczesnej w jednej odsłonie. Napisał Czesław Łukasziewicz.
- No. 4 **"Kuzynek z Europy."** Komedja w jednym akcie na tle stosunków w Ameryce. Napisał Czesław Łukasziewicz.

W przygotowaniu:

Wesele pana Makolągwy. Komedja w jednej odsłonie.

TEATR NARODOWY

Nr. 3.

POD OBCYM SZTANDAREM

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

Napisał

CZESŁAW ŁUKASZKIEWICZ

NOWY YORK 1915

NAKLAD I WŁASNOŚĆ KSIĘGARNI
POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

OSOBY:

SIERŻANT RADZYŃSKI
 KAPRAŁ MALCZEWSKI
 BUNIKOWSKI, rzeźbiarz
 PRÓSZYŃSKI, student
 PIECHOTA, górnik
 DOLSKI, malarz
 GANZLICHT, literat
 ZABIELŁO, medyk
 OCHOCKI, stolarz
 MURZYN
 TUREK
 MARKIETANKA
 SIOSTRA MIŁOSIERDZIA

} żołnierze francuskiej
 } Legji cudzoziemskiej

**Rzecz dzieje się w okopach francuskich na
 północno-wschodnim froncie.**

(Scena przedstawia okopy francuskie, wznoszące się po lewej od widzów. Od prawej biegnie kurytarz prostopadle do okopu. Żołnierze rozstawieni częścią u góry okopu, częścią rozłożeni po ziemi, leżą lub siedzą grupkami. Okopy umocnione rozmaitymi sprzętami domowymi.)

Copyright by
 Polish Book Importing Co., Inc.
 1915.

All rights of reproduction are reserved.

Prawo wystawiania tylko po porozumieniu się
 z firmą **Polish Book Importing Co., Inc.**,
 83 Second Ave., New York, N. Y.



Z Drukarni Telegramu Codziennego W. A. Mazura, 90 E. 10 ul. New York

AE 9408M

K. 157/07

SCENA I.

(Sierżant, Bunikowski, Murzyn, Dolski, Ganzlicht, siedzą w jednej grupce, obok rozłożyli się: Zabiello i Kapral; Walkowiak próbuje w głębi chodzić na rękach; Piechota, Ochocki, Prószyński i Turek stoją lub klęczą u góry okopu z karabinami w rękach.)

Dolski:

Djabło zimna dzisiaj noc. Chwała Bogu, że już wreszcie świta. Będzie można ogień rozpalić. Ale, że Niemcy dziś nie atakowali! Coś się im widać psuje od czasu ataku Algerczyków. Boją się czarnych! Ej, bracia! żeby tak nam byli pozwolili sformować jeden bodaj polski oddziałek, to i nas bałyby się Szwaby nie gorzej, jak murzynów.

Sierżant:

Trudno! Już się nie odstanie. Jesteśmy żołnierzami francuskimi i honor każe nam walczyć do upadłego. Bogu dziękować i za to, że bodaj nas dziesięciu znalazło się w jednej kupie.

Bunikowski:

To całe szczęście. Bo dobrze wam, którzy jako tako mówicie po francusku, ale ja, którym wy-

szedł z cesarsko-królewskiego gimnazjum w Galilei, i umiem tylko Bon jour, albo Je vous aime* — co ja robiłbym między tymi poganami? (Klepie po plecach Murzyna.) Prawda mało afrykańska?

Murzyn (śmieje się):

He, he, he...

Bunikowski (do Murzyna):

Tyś szczęśliwy Afrykańcze. Bo co ty wiesz? Ojciec twój jeszcze małą był i po drzewach chodził i kiedy widział człowieka ubranego, to wył jak szympanś z podziwu. Ty zaś masz czerwone spodnie i buty podkowane i marzniesz razem z szlachtą polską w okopach, zbudowanych przez cywilizację francuską. To samo cię robactwo gryzie, co i nas, potomków samosierczyków. A psia-krew! No Murzyn zaknij po naszymu — Ałłach ci da zdrowie! No, psia-krew!

Murzyn (powtarza):

Czakreff!

Bunikowski:

Brawo! (Klepie go po plecach.) Wiecie kochani, że z tego naszego Otella będzie można jeszcze zrobić człowieka.

* Wymów: Bą żur, że wuzem = "dzień dobry", "kocham cię".

Dolski:

Ma głowę charakterystyczną. Zamiast odbijać mu nerki ciąglem klepaniem po plecach, lepiej byście zrobili, gdybyście go ulepili w glinie. — Wstyd, żeby taki rzeźbiarz, jak wy, marnował talent i nawet palcem nie ruszył.

Bunikowski:

Blaga! Chciałem portretować naszą markietankę, ale kiedy jej zapowiedziałem, że kobiet ubranych zasadniczo nie rzeźbię, dała mi w głowę i poszła sobie.

Sierżant:

że wy też zawsze macie takie głupstwa w głowie.

Bunikowski:

A co mam mieć. Siedzimy już dwa tygodnie pod ziemią i strzelamy sobie do usmarkanej śmierci, a Niemców wcale nie ubywa. Człowiek idjocieje i tyle.

Ganzlicht (trzymając książkę otwartą):

Co tam wam, którzyście żyli zawsze kawiarnią i sztuką? Ale ja, bez biblioteki, to jak ryba bez wody. Jedną, jedyną książeczkę zdołałem zabrać ze sobą, ale gazet mi brak!

Sierżant:

Gazet, gazet! Alboż nie macie codziennie w rozkazach sprawozdań sztabu generalnego?

Ganzlicht (lekceważąco):

Oficjalne raporty!...

Sierżant:

Nie wierzycie im?

Ganzlicht:

A wy wierzycie?

Sierżant:

Jestem żołnierzem i muszę wierzyć.

Ganzlicht:

No, ja także jestem żołnierzem i muszę wierzyć...

Sierżant:

Wiecie, Ganzlicht, ja was nie mogę zrozumieć. Skoro nie wierzycie w naszą sprawę, pocoście wstępowali do wojska?

Ganzlicht:

Jak to po co? Przecież wtedy, kiedyśmy się zaciągali, mówiło się o legjonie polskim, który

miał być zawiązkiem polskiej siły zbrojnej, a tymczasem rozrzućili nas pomiędzy dzicz algierską i wywłóków z całego świata.

Sierżant:

Ale później, skoroście już wiedzieli, gdzie jesteście, mogliście byli, no... zachorować, tak jak to inni uczynili.

Ganzlicht:

Wiecie, gdyby mój ojciec był tak, jak wasz, katolikiem-Polakiem, byłbym to może zrobił, ale mój tata nosił pejsy, rozumiecie, a ja nie zniósłbym nigdy, aby mówiono o mnie: "ot stchórzył żydek!" I dlatego poszedłem i dlatego mówię wam, że prędzej wam się to wszystko sprzykrzy, jak mnie.

Dolski:

Poco to próżną słomę młócić? Macie karabin w garści, a jeszcze wam po głowie orjentacje chodzą. Czy można zaśpiewać?

Sierżant:

Pewnie, że można, ale śpiewajcie "Marsyljanke", żeby niepotrzebnie nie drażnić drugich.

Dolski:

No, to jazda! (Dyryguje, wszyscy śpiewają "Marsyljanke".)

Zabiello (do kaprała):

Nie chce mi się już śpiewać tej "Marsyljanki". Wkółko jedno i to samo.

Kapral:

Cóż robić? Ta pieśń godzi wszystkich. Jest nas tu dziesięciu, a każdy należy do innej partji i każdy śpiewałby co innego, nie chcąc drugiemu ustąpić. Nie byłoby nigdy chóru.

Zabiello:

Ach! wszystko to blażeństwo! Wiecie kolego, że kiedy sobie pomyślę, że już może nie zobaczę mojego ukochanego Paryża, to mi się trochę słabo robi. Sześć lat już studjuję medycynę, ale ona mnie nie wiele obchodzi! Cóż jest głupia medycyna przy wspaniałym gotyku Notre Dame? Pamiętacie ten kościółek stary z walącym się murem przy Sężaku*... Co to za robota! Wiecie, że dziś największy genjusz nie umiałby już wskrzesić tego piękna, zaklętego w cegły i wapno przez myśl bożą, nurtującą chrześcijaństwo średnich wieków. O! Paryż, mój kochany Paryż!...

* Saint Jaque.

Kapral:

Rozmarzacie się kolego! Jeśli tak kochacie Paryż, trzeba było w nim pozostać.

Zabiello (zrywa się):

Co? Ja miałem pozostać spokojnie wtedy, gdy na to miasto świetlane szła ohydna nawała barbarzyńskiego prusactwa? Ja miałem nie porwać za karabin, by bronić tej starej kultury przed świętokradzką ręką zbója w pikielhaubie? Nigdy, przenigdy! Wolę paść trupem u progu Paryża, jak oglądać w nim jednego bodaj potwora niemieckiego. Mój Paryż kochany... La ville lumineuse...*

Kapral:

Słuchajcie Zabiello? Wyście z Wilna?

Zabiello:

Tak. Co wam znów do głowy wpadło?

Kapral:

A to, że wy tak prędko pokochaliście Paryż, a zapomnieli o waszem starem mieście. To dziwne...

* Wym.: La wil limjer = miasto świetlane.

Zabiello:

Cicho, kapralu! Na miłość boską: nie przypominajcie. Co wy tam wiecie? Chociaż, wy dobry człowiek, ja wam powiem. Ja kocham stare mury Wilna i Niemen i całą Litwę — ja ją znam, ale ja musiałem iść stamtąd — przez jedną głupią bombę; nie mogłem wracać... Potem, żal okropny mnie zdjął — ani rusz zapomnieć... Wiecie, tak ja całymi dniami wpatrywałem się w gołtyki paryskie, aby sobie przysłonić widnokrąg, aby myśli nie puszczać tam dalej ku Niemnowi, bo mnie nieraz tak za gardło ściska, żebym się mógł rozbeczeć jak dziecko male... Tak się sam oszukiwałem i oszukuję. Nawet tu, w tym żywym grobie, jeszcze mi się zwiduje Ostra Brama i nieraz mocniej ściskam karabin, bo zdaje mi się, że jej broń przed zniszczeniem... Wiecie, kapral, ja swoją własną duszę oszukuję... (Zasłania oczy.)

Dolski:

Ciekawym, czy dzisiaj przyniosą nam co jeść, bo doprawdy już mnie humor zaczyna opuszczać. Jeszcze pięć godzin takiego postu, a położę się i nie wstanę więcej. (W tyle sceny Walkowiak chodzi na rękach.) Hej! Walkowiak! Coś ty się wściekł? Nie masz nic lepszego do roboty, jak chodzić na rękach?

Walkowiak:

Już ja wiem, co robię. My Poznaniaki tośmy naród praktyczny — bez potrzeby nic nie robimy.

Dolski:

A cóż ci przyjdzie z chodzenia na rękach?

Walkowiak:

To dla, wprawy. A nuż mi granat nogi urwie, to jakżebym wrócił do Paryża?

Dolski:

A to bestja humoru nie traci.

Walkowiak:

Cobym miał zaś tracić? Co innego, wy, panowie szlachta paryska, wydelikaczone pieski francuskie, to wam tu źle w tych okopach, ale my, górnik, co całe życie pod ziemią siedzimy, to nam tu dobrze. A zresztą wy przecie wiecie, jak my Niemca lubimy... żebyśmy z niego skórę darli za nasze krzywdy. To jak jest teraz sposobność którego ustrzelić, to czemu by człowiek nie miał mieć humoru? Czy nie, Piechota?

Piechota:

Pewnie, że tak. Ja tam o nic Pana Boga nie proszę tylko o to, żeby dziennie trzech Niem-

ców postrzelić. Chociaż te fuzyje nasze, to strasznie marne. Takie cieniutkie kulki, że choć szwaba trafisz, to on jeszcze ucieka. Paskudne nasienie! Czekaście no! Jeden wystawia łeb z transzów! (Mierzy, strzela.) Spadł! (Z lewej strony od okopów niemieckich dolatuje parę strzałów. Ochocki, Prószyński i Turek schylają głowy.)

Prószyński:

Już się zaczyna.

Ochocki:

Chyba jeszcze nie, bo za ciemno!

SCENA II.

(Ciż, Markietanka.)

Dolski:

Wielkie nieba! Co ja widzę? Nasza markietanka, ta, co tak Polaków lubi, sunie ku nam. Prezentuj broń! (Biegnie ku korytarzowi na prawo.)

Markietanka (wchodzi z koszem):

Hallo, chłopcy! Jak się macie?

Bunikowski:

Jak groch przy drodze, dostojna żywicielko

nasza. Żreć się chce, jak wilkom syberyjskim.

Markietanka:

Pan nic nie dostanie, aż pan przeprosi. Jeszcze nie zapomniałam.

Bunikowski (klęka z przesadą):

O bogini grecka, o Afrodyto!

Gniew twój przepuść przez sito,

O precudna kobito...

Dolski:

Bunikowski, co ci to?

Bunikowski:

A bodaj cię zabito! Chciałem uczcić naszą Pomonę wspaniałym heksametrem i przeszkodziłeś mi w najpiękniejszym miejscu.

Markietanka (śmieje się):

No, już dobrze, dobrze! Bierzcie i spożywajcie. (Rozdaje chleb i owoce.) Dziś wieczorem będą befsztyczki.

Dolski:

Co? Befsztzycki? Vive la France!*

* Wiw la Frans = niech żyje Francja!

Bunikowski:

Nie drzej się tak, bo Niemcy pomyślą, że nam posiłki nadciągnęły i zaczną uciekać i będziemy musieli znowu gonić za nimi.

Ganzlicht:

A wyście się już tak przyzwyczaili do tego miejsca?

Bunikowski:

Alboż nam tu źle. Kawał chleba, dwa jabłka i nadzieja befsztyka. Co? Ganzlicht, zjadłbyś, taki piękny, woniący befsztyczek, przypiekany z cebulką. (Pociąga nosem.)

Dolski:

Nie mów, nie mów ani słowa, bo mi serce pęknie z nadmiaru wrażeń.

Markietanka:

Czy wy się chłopcy nie wstydzicie wciąż tylko o tem jedzeniu myśleć?

Bunikowski:

A o czemże mamy myśleć, Cerero nasza? Myślałem o sztuce i chciałem twój portret wyrzeźbić, to się na mnie obraziłaś.

Markietanka:

Bo jakże można uczciwej kobiecie robić takie propozycje? Gdzieżbym ja mogła dać się portretować bez ubrania?

Bunikowski:

Co? A czy ty wiesz, Djano, kto mi pozował do portretu? Słynna tancerka Lascarini, boska śpiewaczka Vallette i sto innych dam z całego świata i z półświata. Czy ty wiesz, że gdybym chciał, toby mi pozowała sama królowa angielska?

Dolski:

Ależ naturalnie!

Bunikowski:

No, widzisz; każdy to poświadczy, nawet Ganzlicht, który nigdy w swoim życiu nie skłamał, bo na to za głupi!

Ganzlicht:

No, no!

Bunikowski:

Widzisz tedy, Junono, że bez ujmy dla swojej kobiecości możesz dać sportretować swoje cudne kształty. Zgódź się, a sztuka będzie ci wdzięczna po wieczne czasy i po wszystkie wieki. Więc zgoda? —



Markietanka:

Czyś pan zwarzował? Ja mam panu pozować bez odzieży? Na takim mrozie? — A dajcież mi święty spokój! (Porywa swój kosz i wybiega kurytarzem.)

SCENA III.

(Ciż, bez Markietanki.)

Sierżant:

Ot! spłoszyliście żywicielkę naszą!

Bunikowski:

Nie bójcie się, już ona wróci. Przecież to widoczne, że zakochana w jednym z nas; tylko nie wiem, czy we mnie, czy w tej czarnej małpie? (Pokazuje na murzyna.)

Sierżant

(który zbliżył się do Zabielly):

Jak to dobrze tym wszystkim wesółkom. Błaznują sobie i nie nudzi się im przynajmniej. Dzięki im i ja mam nieraz wrazenia, że siedzę w kawiarni na Miszlu,* a nie w okopach. Na prawdziwą

* Boulevard Saint Michel w dzielnicy Łacińskiej.

wesołość nie mogę się wszakże zdobyć. (Kapral obchodzi posterunki.)

Zabiello:

I ja się na nią już chyba nigdy nie zdobędę.

Sierżant:

Wam to jeszcze pół biedy. Ale ja muszę przecież innych zachęcać i dodawać im animuszu, którego sam nie mam. Czy myślicie, że jest pomiędzy nami choć jeden, który tu chętnie siedzi?

Zabiello:

Chyba ci dwaj górnicy, Poznaniacy.

Sierżant:

Tak się bić dzień za dniem, z reumatyzmem w kościach, z pustym żołądkiem — i nie mieć nawet tej pewności, czy człowiek Polsce służy. Czy wiecie? (Ciszej.) Podobno o tych legionach galicyjskich to wszystko nieprawda! Nikt ich nie rozstrzeliwał. Są, rosną i biją się pod swoimi sztandarami.

Zabiello:

Co wy mówicie? O Chryste Panie! (Siadają po prawej i rozmawiają z cicha.)

Ganzlicht

(Zaczyna czytać “Księgi Pielgrzymstwa” Mickiewicza; wszyscy skupiają się koło niego, Ochocki opuszcza swoje stanowisko u góry okopu, a na jego miejsce idzie Murzyn. Inni również nad słuchują. Po chwili zwracają się ku nim także Sierżant, Zabiello i Kapral, który wrócił właśnie):

“Pielgrzymie polski, byłeś bogaty, a oto cierpisz nędzę i ubóstwo, abyś poznał, co jest ubóstwo i nędza; a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: ubodzy i nędzarze współdziedzicami mojami są.” (Wszyscy skupiają się.)

“Pielgrzymie stanowiłeś prawa, i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś z pod opieki prawa, abyś poznał bezprawie; a gdy wrócisz do kraju, abyś wyrzekł: cudzoziemcy, razem ze mną współprawodawcami są.”

“Pielgrzymie, byłeś uczony, a oto nauki, któreś cenił, stały ci się nieużyteczne, a te, któreś lekceważył, cenisz teraz, abyś poznał, co jest nauka świata tego; a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: prostaczkowie współuczniami memi są.”

Dolski:

Widzicie Prószyński, tu macie najlepszy dowód, że Mickiewicz odczuwał ten pochód zwycięski

zorganizowanego proletariatu, wydobywającego się z ciemności...

Prószyński (przerywa):

A dajcie mi spokój z waszym proletariatem— wiecie, że jestem narodowiec...

Dolski (przerywa):

Wasz skrajny nacjonalizm zabija w was wszystkie pierwiastki...

Prószyński (przerywa):

Wiem, wiem, ludźmi w całym tego słowa znaczeniu są tylko ci, co należą do P.P.S.

Dolski:

A cóż? Może mam za ludzi uważać Endeków, albo zdrajców ludu polskiego, Esdeków?

Kapral:

Tylko proszę was, nie wycierajcie sobie gęby esdecją, boście jeszcze nie dorośli do jej krytykowania.

Bunikowski (przerywa):

Proszę o głos w kwestji formalnej.

Kapral (ciągnie dalej):

Esdecja pierwsza zdobyła się na śmiałe postawienie kwestji narodowościowej...

Prószyński (przerywa):

Nazywając Polskę trupem!...

Bunikowski:

Proszę o głos!

Ochocki:

Ja także proszę o głos!

Walkowiak (do siebie):

Zwarjowała szlachta paryska.

Kapral (ciągnie dalej):

Esdecja pierwsza wypowiedziała się przeciw militaryzmowi.

Prószyński:

A wy, jej przedstawiciel, jesteście naszym kapralem.

Bunikowski:

Proszę o głos obywatele!

Ochocki:

Proszę o głos towarzysze!

Murzyn (śmieje się do rozpuku).

Sierżant:

Panowie! Proszę do porządku dziennego! (Ha-

łas.) A? do stu diabłów, czy nie będzie spokoju? (Komenderuje ostro): Gardez vous!* (Wszyscy się prostują i milkną w jednej chwili.) Czyście się powarjowali? O sto pięćdziesiąt kroków od nieprzyjaciela wiece wciąż chcecie odprawiać. Zapowiadam, że jeśli się nie uspokoiacie, to zarządzę dwugodzinne ćwiczenia gimnastyczne. Ganzlicht! Czytajcie dalej "Księgi Pielgrzymstwa!" (Daje znak ręką, wszyscy siadają, lub stoją napowrót na dawnych pozycjach obok Ganzlichta.)

Ganzlicht (czyta):

"Pamiętajcie, że jesteście wpośród cudzoziemców, jako trzoda wśród wilków i jako obóz w kraju nieprzyjacielskim, a będzie między Wami zgoda!"

"Nie wszyscy jesteście równie dobrzy, ale gorszy z Was, lepszy jest, niż dobry cudzoziemiec, bo każdy z Was ma ducha poświęcenia się."

"Ale jeśli niektórzy z Was różnią się od drugich, tedy dlatego, iż przybrali suknie cudzoziemskie; jedni włożyli czerwone czapki francuskie..."

Walkowiak (który słuchał z nabożeństwem):

Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!

* Wym.: Garde wu! = Bacność!

Ganzlicht (czyta dalej):

“Rządcy francuscy, i mędrkowie francuscy, którzy gadacie o Wolności, a służycie despotyzmowi, legnicie między ludem Waszym i despotyzmem obcym, jako szyna żelaza zimnego, między młotem i kowadłem.”

“I będziecie wołać do młota, do ludu Waszego: ludu daruj, a sfolguj, bo gadaliśmy o Wolności. A młot rzeknie: gadałeś inaczej, czyniłeś inaczej...”

(Przy ostatnich słowach słyhać z lewej strony, od okopów niemieckich wyraźny, choć przyciszony śpiew):

Chór z okopów niemieckich:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki: } bis
Bądź pochwalon Boże wielki!

Sierżant (zrywa się):

Co to jest?

Wszyscy (nadsluchują):

Walkowiak:

Matko Boska! Adyć to nasi! Słyszycie? Modlą się na ranne zorze. Cicho!

Chór z okopów niemieckich:

A człowiek, który bez miary
Obsypany twemi dary —
A czemużby cię nie chwalił? } bis
Coś go stworzył i ocalił —

Prószyński:

Miałem trzy lata, jak mi to matka śpiewała.

Dolski:

Ja to sam codziennie śpiewałem, dawno już temu, dwadzieścia lat!...

Chór z okopów niemieckich:

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Już do mego Pana wołam,
Do mego Pana na niebie,
I szukam go koło siebie...

(Żołnierze polscy wtórowali z cicha, aż wreszcie nucą pełnym głosem):

Do mego Pana na niebie,
I szukam go koło siebie...

(Chwila milczenia.)

Sierżant:

Słyszeliście? A toż tam w tym okopie nieprzyjacielskim nie kto inny, jak nasze chłopcy polskie z Poznańskiego.

Walkowiak:

Braty nasze rodzone.

Sierżant:

Czekajcie! Ja do nich przemówię. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale czuję, że muszę odezwać się do nich. Kiedy usłyszą mowę polską, podejną ku nam i uściskną nam dłonie.

Walkowiak:

Juścić, że tak.

Kapral:

Jabym tam nie radził wychylać się ponad tran-
sze.

Sierżant:

Co mówisz, człowieku? Tam w okopach naszego wroga słyszeć pieśń polską i nie dać im znać, że do swoich rodaków strzelają? Niech się dzieje, co chce! (Wdziera się na okop.) Bracia Polacy! Słuchajcie! To nie wróg do was przemawia, ale taki sam Polak, jak wy! Biedacy! Zapędzono was gwałtem w szeregi naszego odwiecznego wroga i kazano strzelać do Francuzów, którzy nic złego wam nigdy nie zrobili. Patrzcie! Po stronie Francji opowiedziała się cała cywilizowana Europa. Wszystkie narody świata pomagają

Francuzom — i my tu jesteśmy, tacy sami Polacy-katolicy, i idziemy całą gromadą przeciw waszemu tyranowi. Posłuchajcie pieśni polskiej, która was przekona, że tu w okopach francuskich są Polacy i przychodźcie do nas bez bojaźni uścisknąć nasze dłonie braterskie! (Do swoich żołnierzy): Dalej, żywo! Zaśpiewajcie mazurka Dąbrowskiego. Niech się przekonają Poznaniacy o prawdziwości słów moich.

Chór żołnierzy:

Jeszcze Polska nie zginęła
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy...

Sierżant (stojąc wciąż na okopie):
Niech żyje Polska!

Chór żołnierzy:

Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi...

(Słychać krótką urwaną salwę, Sierżant chwytając się za piersi i stacza z okopu — pieśń rwie się w jednej chwili, żołnierze skupiają się koło Sierżanta.)

Kapral:

Nie schodzić z posterunków! Zabięło! Zróbcie szybko sierżantowi opatrunek. Podać mu wody. A ścierwa niemieckie!

SCENA IV.

(Cięż, Siostra miłosierdzia.)

Siostra (wchodzi):

Czy są jacy chorzy lub ranny? Dostaliśmy świeży transport opatrunków i koców. Nie będziecie biedacy już marznąć nocami.

Kapral:

Jest, siostrze, jeden ranny, nasz sierżant. Dostał kulę w pierś. Nie wiem, czy z niego co będzie.

Siostra (zbliża się do Sierżanta):

Czy bardzo?

Sierżant (porusza się):

Zdaje się, że śmiertelnie. Szkoda twojej pracy siostrze. Bóg ci zapłaci! Przykryjcie mnie czem. (Przykrywają go własnymi płaszczami.)

Siostra:

Nie trzeba tracić nadziei, bracie.

Sierżant:

Nic nie pomoże... Już tu skończę na obcej ziemi. Idź siostrze odemnie. (Siostra klęka opo-

dal.) Zabię! Ty wiesz wszystko, tyś mi był przyjacielem. Pierścionek jej odnieś i pożegnaj. Niech ją Bóg ma w swojej opiece.

Zabię:

Sierżancie!

Sierżant:

Cicho... ja wiem, że nie przetrzymam. Zreżę, wojna nie matka, nie rodzi. Tak mnie żęno trzęsie... Wiesz, ja duszę oddam za chwilę, a sumienie mam ciężkie... Moja wina... Pod obcym sztandarem szedłem i was wiodłem. Boże odpuść! O! jakże czarno! Słuchaj bracie... ja cię proszę zrób mi łaskę, ostatnią... Oszukaj mnie! Tam, w drugim kurytarzu leżą jeszcze nie pogrzebane ciała Stańka i Orłowskiego... Zedrzej z którego ubranie i zrób mi polski sztandar i daj go w rękę... a gdybym nie doczekał, to zatknij go na grobie... Mój ty najdroższy! aa! (Umiera.)

Siostra:

Umarł. Wieczne mu odpoczywanie!

(Wszyscy zdejmują czapki.)

Kapral:

Bracia! Musimy pomścić śmierć sierżanta, zamordowanego podstępnie przez to bydło, które

chciał nawracać. Niema rozkazu, ale wszystko jedno. Pójdziemy na bagnety. Śmierć nam albo im!

Walkowiak:

Ja nie pójdę na Polaków.

Kapral:

Milcz! Jesteś żołnierzem francuskim. Musisz iść!

Walkowiak:

Nie pójdę!

Kapral:

To zdechaj chamlu! (Przebija go bagnetem. Walkowiak pada.)

Siostra:

Jezus Marja!

Kapral (komenderuje):

Fix! (Wszyscy prostują się.) Anavant marche!* (Wszyscy ruszają w górę okopu.)

* Wym.: Anawan marsz! = w pochód!

Kurtyna spada. ..

Tempo di Marcia.

u - brąc
chwa - ty
ci, Czas wieńcem
Któż - ry
ty - ra - nów trzy - ma
żoł - da - ków
Nie

skroń
Patrzcie
jak krwia ten sztandar
świe - ci
Któż - ry
ty - ra - nów trzy - ma
dłoń
Sły - szy - cie
ton
hor - dy
ludz - kich wrzasków
wy - ja

cresc.



szczę - ść
 dzac - ąc waszych cór
 ni
 zon
 Wo - di - czu
 wa - szem się - ja

mor - dy
 Do wal - ki
 tu - stań
 Maj - z me - zem zbroń
 ją

broń
 Na
 boi
 na
 bój
 Nie - czy - sta

kre - w
 Niech
 wsia
 knie w wa - sza
 błon

Biblioteka Główna UMK



300043342993

główna